

Od autora: Tekst już w ostatecznej formie. Pozostałe nie były komentowane- sam wychwyciłem usterki i poprawiłem je.

Od autora: Nie jest to w ogóle proza -jest to nowy rodzaj literacki o nazwie bioliteratura/ z angielskiego BL/

Co to jest bioliteratura?

Jestem ulepiony z dziwnej gliny. Nie zgadzam się z zastanym światem. Zupełnie nie pasuję do niego.

Ponieważ wiem, że nie znajdę zrozumienia u ludzi, szukam go w świecie przyrody. I trwa to już ćwierć wieku.

Przyroda, choć nie zawsze jej to wychodzi, stara się mnie zrozumieć. A dlaczego jej to czasem nie wychodzi? Bo mimo wszystko jestem jednak człowiekiem.

Dlatego mogę próbować się z nią porozumieć jedynie NA GRUNCIE PIĘKNA. Bo miłość do piękna nas łączy.

Nie potrafię tego, co przyroda potrafi zdaniem ogółu ludzi najlepiej, czyli rzeźbić, rysować, malować czy muzykować. Potrafię jednak pisać. W przeciwieństwie do większości ludzi uważam, że przyroda też to potrafi, mimo iż nie posiada pisma.

Dla literatury bez pisma tworzonej przez samą przyrodę wynalazłem termin bioliteratura. Jest to w moim zamyśle dokładna odwrotność literatury klasycznej. Docelowo moim pragnieniem jest tłumaczenie tejże literatury ludziom. Oznacza to, że również ten typ literatury nie jest wolny od ingerencji człowieka. Jednak ingerencja ta musi być MAKSYMALNIE ZMINIMALIZOWANA.

Bioliteratura nie uznaje podziałów ani na lirykę, epikę czy dramat, ani nawet na naukową literaturę pięk-

ną. Wszystko w niej jest równocześnie alfą i omegą- aż do wyjałowienia Ziemi. Poszczególne utwory bioliterackie posiadają więc całe rzesze równych sobie bohaterów, co oczywiście niełatwo jest nam zaobserwować ze względu na długość- a raczej krótkość- naszego życia.

Jedyną rzeczą, która w jakiś sposób łączy bioliteraturę i literaturę ludzką, jest kryterium piękna i oryginalności. Ale nawet te pojęcia są przez człowieka i przyrodę rozumiane zupełnie odmiennie. Rzutuje na to oczywiście trwające już wiele tysięcy lat oderwanie człowieka od świata” prawdziwej” przyrody. Z przykrością trzeba stwierdzić, że dziś łączą go z nią tylko zachowania seksualne i różne czynności fizjologiczne! Dlatego liczne opisy przyrody znane z naszej literatury podporządkowane są ludzkiej perspektywie. Tymczasem w przyrodzie dany gatunek istnieje WYŁĄCZNIE dzięki istnieniu tysięcy innych, jest na nie skazany i nie jest samowystarczalny. Nie może więc być mowy o tym, by ktokolwiek miał w tym świecie mniejsze prawa od innych.

Piękno przyrody, którym zachwycamy się my, jest więc z punktu widzenia przyrody NORMALNOŚCIĄ i dlatego nie może w żadnym razie być podstawą bioliteratury. Taką podstawą może być tylko coś, co dla samej przyrody wydaje się piękne, oryginalne i nietypowe. Coś, co dla samej przyrody stanowi wyjątek, na podstawie którego będzie ona mogła tworzyć nowe standardy. I dopiero to kiedyś w przyszłości będzie muzealną klasyką.

O ile tylko będzie miało wartość użytkową dla przyszłych organizmów.

Zapylanie roślin- piękna antypoezja.

Zapylanie roślin przez owady to według przyrody użyteczny kicz- oczywiście z punktu widzenia JEJ WŁASNYCH kryteriów sztuki. Ale nawet kicz nie może być robiony „od niechcenia”. Przyroda wymaga zarówno od kwiatów jak i owadów pełnego profesjonalizmu w wykonywanym fachu, gdyż od tego zależy po prostu jej istnienie. Dopiero gdy wszyscy perfekcyjnie wykonają postawione przez przyrodę zadania, dopiero wtedy w wolnym czasie co bardziej utalentowane osobniki mogą sobie pozwolić na uprawianie sztuki.

Wtedy dopiero okazuje się, że tylko dzięki posiadaniu takiej bazy można stworzyć nawet z punktu widzenia przyrody coś naprawdę oryginalnego. Najczęściej jest to dzieło przypadku. Ale gdy naprawdę dobrze opanuje się podstawowe rzemiosło, przypadki namnażają się same...

To właśnie ten podstawowy fakt powoduje, że w przyrodzie nikt nie jest z góry faworyzowany i że odkrywcą może być każdy organizm.

A oto przykład.

Na prosieniczniku siada motyl zwany perłowcem królewiczem. Wydaje się, że dzięki swoim okazałym rozmiarom powinien być królem łąki. Ale nic bardziej mylnego. Prosienicznik stał się dla niego pułapką bez wyjścia, co niestety zrozumiał dopiero wtedy, gdy skosztował trochę nektaru. Prosienicznik jest mały, a on wielki. Męczy się więc straszliwie, ślizgając po kwiecie. To jest dokładnie tak, jak jedzenie posiłku na rollercoasterze. Nie chciałbym być w skórze tego, który musi to robić...

A przecież dookoła rosną rośliny baldaszkowate. Stoły i krzesła! Jaki więc diabeł podkusił go do takiej nieodpowiedzialności? Chyba chciał popisać się swoją wspaniałością przed innymi. Jeśli tak, to się popi-

sał... bezdenną głupotą. Bo teraz nie ma odwrotu. Trzeba do dna pić piwo, które się nawarzyło. Przecież podstawowa zasada mówi, że nie wolno pod żadnym pozorem kosztować kilku rodzajów nektaru naraz. Nawet najmniejsze muchówki wiedzą o tym.

Jednak w miarę obserwowania otoczenia motyl dochodzi do wniosku, że nic na tym świecie nie jest biało- czarne. Pozornie idealne baldaszkowate [w tym wypadku arcydzięgiel litwor] są... zbyt wygodne. Dlatego zaczyna się na nich robić niebezpieczny tłok. A z tego korzystają profesjonalni zabójcy- pająki kwietniki namiastki.

To nie jest bynajmniej jednostkowa historia. To opowiedziana na podstawie przeżyć jednostki historia dramatycznych wyborów- czy dla chwili wygody i komfortu ryzykować zamianę w kwanty energii, czy też, znosząc wielkie trudy i niewygody, przedłużyć życie o kilka miesięcy. Problemem jest też to, że motyl nie ma czasu na podjęcie dojrzałych decyzji- zbyt krótkie jest jego życie.

Co innego ssaki czy ptaki...

Na kwietnej łące wszystkie prawa są odwrotnością praw ludzkich. Mimo iż panuje tu nadpodaż żywności, zawsze istnieje też nadpopyt- tym większy, im większa jest nadpodaż. Owady kłócą się o jak najlepsze miejsce przy stole. Krzywdy jednak nie chcą sobie wyrządzać, bo szanują swój wzajemny trud. Dlatego zgodnie z zasadą, że to, co jest literaturą dla ludzi, nie jest bioliteraturą, kandydatów na bioliterackich bohaterów należy upatrywać wśród tej nielicznej grupy owadów, która jest apatyczna i leniwa lub tylko zabawy chodzą jej po puszkach głowowych. Takich antybohaterów należy szukać na przykład na kwitnących roślinach bezpośrednio w sąsiedztwie wody. Są to chruściki.

Owady te uwielbiają chować się głęboko w trawach, co zaobserwowałem w rezerwacie długosza królewskiego w Puszczy Niepołomickiej, albo traktować liście jak place zabaw, na przykład chruścik wielki. Istnieją też przypadki owadów- sabotażystów, które dla zaspokojenia własnych zachcianek potrafią zniszczyć kwiat, by dostać się do nektaru. Nie widzą one w tym nic złego. I to jest właśnie kolejny temat bioliteratury: spór o zakres wolności w przyrodzie.

Osią sporu jest pytanie, czy kwiat może być WŁASNOŚCIĄ owada?

Odpowiedzią bioliteratury jest: tak, ale... Gdyby rzecz rozgrywała się tylko w formacie kwiat- owad, bioliteratury na ten temat w ogóle by nie było- przyroda ogranicza własność prywatną i rezerwuje ją wyłącznie dla zwierząt wyższych. Ale do dyskusji włącza się wiatr. Dzięki niemu istnieje pewna grupa roślin- trawy i rdestowce, która zapylania nie potrzebuje. Więc co stoi na przeszkodzie, aby owady trochę sobie na nich poleniuchowały? A co z problemem kwiatów samotnych? Przecież takie też istnieją, szczególnie w środku lasów. Co w tym złego, gdy jakiś konkretny owad zaopiekuje się takim kwiatem? Tu wiatr może wyciągnąć pomocną dłoń, by wyswatać samotne „serca” .

Ale temat ten zahacza już o następny rozdział.

Miłość, śmierć i przemijanie- wieczne tematy bioliteratury.

Skoro wiemy, że bioliteratura istniała od zawsze, że ludzkie pismo alfabetyczne jest tylko częścią biopisma, a literatura- częścią bioliteratury, to staje się oczywiste, że miłość, śmierć i przemijanie muszą być dyżurnymi tematami bioliterackimi.

Ostatnio zwiedziłem Gorczański Park Narodowy. Jest to park powszechnie uważany za górski. Jednak

ważny turysta po pewnym czasie orientuje się, że coś tu nie gra. Jak to możliwe, że Turbacz, leżący na wysokości aż 1314m . n.p. m., nie wyróżnia się niczym szczególnym na tle otoczenia, a droga na szczyt jest płaska jak stół?

Tak, drogi turysto! Jesteś spostrzegawczy. Gorce to GÓRY BEZ GÓR. Sama przyroda także nie mogła nie zauważyć takiego ewenementu. Dlatego uczyniła z Gorców poligon doświadczalny dla bioliteratury, a przynajmniej dla trzech tematów odwiecznych. Splatają się tu one ze sobą nierozzerwalnie jak w jakimś uniwersalnym, pantarejowskim tańcu.

Z poprzedniego rozdziału wiemy już, że przyroda uznaje opisywanie procesu zapylania kwiatów przez owady jako rzecz niegodną uwagi. Nic dziwnego- w procesie tym obowiązuje swoisty „kodeks drogowy”, którego przestrzega 99,9% jego uczestników. Pozostali starają się go obejść, a więc choćby z tego powodu są wybitnymi biopisarzami, tak jak u ludzi.

Jednak Gorczański Park Narodowy jest nawet dla samej przyrody czymś, co „czyta” ona z przyjemnością i zaciekawieniem. Panuje tam taki mrok, taka gęstwina, że skazuje ona kwiaty na samotność. A gdy już w partiach szczytowych Gorców drzewa ustępują miejsca halom, kwiaty, zanim krzykną „Hurraaa”, słyszą odpowiedź bliźniczki psiej trawki: „No passaran!”.

Właśnie dlatego, że miłość między kwiatami i owadami jest tu tak utrudniona, obie strony zmuszone są działać niestandardowo nawet jak na przyrodnicze gusta.

Pierwszą rośliną, która daje sygnał do ataku, jest jastrzębiec pomarańczowy. Ten symbol, obok salamandry, Gorczańskiego Parku Narodowego, jest w warunkach górskich najmniejszą rośliną z rodziny Compositae. Najmniejszą i najpiękniejszą zarazem. Cztery bliźniaczo podobne do siebie kwiaty[sierpek to również nieczęsty typ kwiatostanu] z uzbrojonymi jak na bitwę kielichami stają sobie dumnie w luce między dwoma świerkami. Taka postawa mówi wszystko. I chociaż ja nie miałem zbyt wiele czasu na obserwacje pojedynczych okazów- wróciłem późno w nocy- to jestem przekonany, że bój jastrzębca o „bratnią duszę” ma wszelkie szanse powodzenia.

Jaka jest więc według przyrody podstawowa różnica między miłością a aktem seksualnym?

Odpowiedź przyrody jest oczywista. Miłość i seks to dwa różne pojęcia. Seks to OBOWIĄZEK. Tym właśnie można wytłumaczyć fakt, że opis zapylanej kwietnej łąki zupełnie ją nie interesuje. Seks jest po prostu REGUŁĄ, którą przyroda napisała, by w ogóle istnieć...

Natomiast pod pojęciem miłości przyroda rozumie WSZYSTKO, CO OD TEJ REGUŁY ODBIEGA. W Gorczańskim Parku Narodowym tych wyjątków, i to różnorodnych, jest bez liku. Powszechnie wiadome jest każdemu wysokogórskiemu turyście, że świerk i jodła, delikatnie mówiąc, nie pałają do siebie sympatią. W Gorcach, i nie tylko tam, posuwają się nawet do wzajemnego apartheidu. Najczęściej w lesie jodłowym świerki, o ile występują, są przytłoczone przez jodły do ziemi, osiągając "służebne" wobec jodły rozmiary. Ale to również w Gorcach spotyka się wiele przykładów miłości między tymi drzewami. Dotyczy to szczególnie drzew młodych, pozbawionych jeszcze klasowo- rasowych uprzedzeń. Potrafią one rosnąć tak blisko siebie, że muszą odczuwać ból własnych korzeni nawzajem ścierających się przez lata. Jak jednak widać- ich miłość wciąż trwa...

Gdy miłość nierozzerwalnie wiąże się ze śmiercią, powstaje specyficzny, godny bioliteratury typ uczucia- MIŁOŚĆ EKONOMICZNA. W Gorcach tworzą ją świerki i czyrenie świerkowe. Zgodnie z zasadą, że miłość jest wszystkim oprócz seksu, czyrenie zasiedlają zamarłe i często pouciane w połowie przez

wiatr świerki. Właśnie dlatego, że w świerkach tych nie ma już nic z wyjątkiem stojących trocin, czyżenie przez swoje życie na pustce chcą przynajmniej przypomnieć dzisiejszym mieszkańcom puszczy o dawnej chwale zamarłych gigantów- są więc dla nich nauczycielami biohistorii i kronikarzami zarazem.

A że przy okazji lubią trociny, godzą przyjemne z pożytecznym. I na tym właśnie polega EKONOMIA MIŁOŚCI- wilk syty i owca cała...

Zjawiska atmosferyczne a bioliteratura.

W literaturze ludzkiej mgła ma znaczenie symboliczne- pisząc o mgle poeci mają najczęściej na myśli podtekst seksualny lub w najbardziej „łagodnej” wersji- szeroko rozumiane stosunki damsko- męskie. Nie inaczej jest w przypadku słońca, deszczu czy tęczy. Z kolei pisząc o wietrze mają na myśli „wiatr zmian” , czyli kontekst historyczny.

Tymczasem zjawiska te pozbawione są jakiegokolwiek wartości bioliterackiej. Mgła to po prostu przewalające się tumany gazu, opady to coś mokrego, a tęcza- zjawisko optyczne. Ale dla samego istnienia bioliteratury zjawiska te są po prostu nieodzowne! Są one MATERIAŁAMI PIŚMIENNYMI- nie tylko dla bioliteratury, ale także dla zrobienia przez przyrodę zwykłych, niebioliterackich notatek.

Nas jednak konsekwentnie interesuje bioliteratura.

Październikowy poranek 19.. roku był wyjątkowo ciepły. Temperatura nie spadła poniżej 10 stopni Celsjusza. Jednak było tak mglisto, że słońce przez dłuższy czas było zredukowane do postaci „słonecznej planety”. Ponieważ takie zjawiska obserwujemy w październiku dość często, nie wyszło to poza niebioliteracką notatkę. Ale znalazły się dwa organizmy, które tego dnia były silnie bioliteracko usposobione- snuwik i lejkowiec labiryntowy. Postanowiły one zamienić biourzędnicze notatki na zagadki bioliterackie.

Lejkowcowi labiryntowemu nie powiodło się. Nie mogło mu się powieść. Jego ambicje nie były dostosowane do jego talentu. Dał więc sobie spokój z tworzeniem sztuki i skoncentrował się wyłącznie na tworzeniu swoich ohydnych lejów na żywopłotach. Tu okazał się być prawdziwym profesjonalistą- po kilku dniach leje wypełniły się pustymi pancerzykami po owadach.

Zupełnie inaczej ułożyły się losy snuwika. Ten pająk ma po prostu talent. Do tego stopnia, że mgła została przez niego „obegrana” i całkowicie zespoliła się z jego siecią. A ponieważ pająk jest maleńki, nigdy nie byłem i nadal nie jestem w stanie odróżnić go od kłębków waty na krzewach pochodzenia czysto „mgielnego”.

Ale talent kosztuje i wymaga cierpienia! Mgła powoduje, że zwierzę to, choć jest zmiennocieplne, marznie . Co gorsza, nie jest w stanie podnieść swej temperatury dopóty, dopóki nie obejrzy słońca.

No to po co, u licha, tak naraża własne życie ?

Odpowiedź jest w gruncie rzeczy bardzo prosta. Drobne muchówki, na które on poluje, nie są zbyt rozgarnięte i nie mają instynktu samozachowawczego. Toteż gdy pojawia się słońce, siadają byle gdzie, by

się ogrzać. Oczywiście swoją głupotę równoważą rozrodczością. Snuwik jest doskonale przygotowany na taki scenariusz. A więc- cierpienie w przyrodzie także ma sens ekonomiczny...

Rok 2015, którego końcówkę mamy teraz, zapisze się w annałach jako rok bioliteraturotwórczy. Brak normalnych dla naszego klimatu pór roku spowodował ogromne anomalie w rozwoju runa leśnego. Saharyjski sierpień zaowocował czterodniowym, lecz wielkim wysypem podgrzybków w nowosądeckich lasach. To było z ich strony wielkie pożegnanie z ludźmi- pomimo deszczowego października nigdy już nie odżyły ponownie...

Ale największą sensację sprawiły borowiki, mimo iż nawet w normalnych czasach są one jednymi z współtwórców bioliteratury science – fiction. Zdarza się bowiem, że rosną jeden na drugim- wtedy ten wyższy staje się pępkiem drugiego lub przypomina filmowego Quato. Tym razem, odmiennie niż w normalnych pogodowo lub nawet umiarkowanie suchych latach, rosły z pominięciem etapu „dziecięcego”. Właśnie dlatego mogłem w pięćdziesiątym pierwszym dopiero roku życia dołączyć do dość elitarnego „klubu kilowiczów ”, czyli grzybiarzy, którym udało się znaleźć borowika o wadze od 1 kg wzwyż.

Generalnie jednak las poniósł prestiżową klęskę w walce z suszą. I kto wie, czy w przyszłym roku w ogóle byłoby co zbierać, gdyby nie tak pogardzane przez wszystkich pseudoestetów trawy. Od tego roku będę więc powtarzał wszystkim tysiące razy zdanie, które stało się już bioliteracką klasyką: KIEDY TRWOGA, ZWRÓĆ SIĘ O POMOC DO TRAW. To dzięki ich matczynemu płaszczeni młode drzewka nie pousychały i, co ważne, ich nasiona zachowały zdolność ekspansywną. To właśnie trawy uratowały honor nowosądeckich lasów i przeniosły zagrożone wysuszeniem grzybnie pod wyżej przeze mnie wspomniany matczyne płaszcze.

Trzeba też wspomnieć o tym, że w chwili próby, czyli w apogeum suszy, zdezerterowały jeżyny- dotąd największe opiekunki grzybów. Nie wiem, jak ja zachowałbym się po takiej zdradzie...

Ale ja- to ja, a przyroda- to przyroda, więc zobaczymy, co będzie w przyszłym roku.

Reasumując sądzę, że przyrodzie przydaje się bioliteracki katharsis. Bo, parafrazując słowa Szymborskiej, przyroda tyle wie o sobie, ilu jej członków w najmniej oczekiwanym momencie przejdzie [lub nie] próbę ogniową.

Skały- jeden z filarów bioliteratury.

Skała to słowo- klucz w poezji. Oznacza ona kogoś męznego, niezłomnego, ale też - jak przekonałem się podczas kilku lat aktywnego członkostwa w krakowskim Teatrze Promocji Poezji- osobnika niestałego emocjonalnie, zdolnego do popełnienia samobójstwa. Dlatego słowo „skała” zawsze odtąd będzie mi się kojarzyło z jakimś ludzkim dramatem.

Natomiast skały w przyrodzie to NEKROOSOBOWOŚCI. Termin ten oznacza, że choć nie są bioliteraturą samą w sobie, posiadają zdolności przywódcze. Tylko przyroda wie, do czego i w jakim terminie należy je wykorzystać. Oznacza to, że skały tworzyły, tworzą lub będą tworzyć bioliteraturę- nigdy jednak równocześnie, bo to zabiłoby bioliteraturę. Ludzie podświadomie też to wiedzą, toteż obszary o szczególnej koncentracji skał są parkami narodowymi bądź rezerwatami przyrody na każdy możliwy bioczas.

Z mojej pracy zatytułowanej „ Dzika Jura Krakowska” wynika, że skały wapienne posiadają NEKRO-

ŚWIADOMOŚĆ. Jest to oczywiste- w dalekiej przeszłości były one zwierzętami.

W Dolinie Raclawki pod Krakowem, zwanej przeze mnie „Rezerwatem Wilczych Dołów”, skały uprawiają NEKROMIŁOŚĆ. Nie nekroseks- o różnicy między miłością a seksem pisałem już w tym utworze. U wylotu Doliny kilka z nich, wyrastając wprost z dna Raclawki, tworzy naturalne organy. Niesłyszalny chór nierozłącznych nekroprzyjaciółek przyciąga przyrodnicze klejnoty, takie jak chrząszcza zwanego szykonem metalicznym czy największego polskiego motyla- perłowca królewicza. Z miłości wypływa przesłanie pokoju, toteż nawet wiatr zatrzymuje się tutaj na chwilę zadumy, a jeśli chciałby wojować, nekroprzyjaciółki od razu stawiają mu szlaban z własnych „ciał”. Wiatr wpada wtedy w pułapkę. Musi się potem przeczołgiwać jak wąż między szczelinami skał.

Jednak miłośnicy dolinek podkrakowskich wiedzą doskonale, że jest ich aż 9[z OPN -em i dolinkami leżącymi na południe od głównego pasa aż 12] i są równie piękne . Dlaczego więc tylko ta jedna spełnia wszystkie bioliterackie kryteria?

O bioliterackości Doliny Raclawki przesądza jej niekonwencjonalne, nawet jak na Jurę, położenie. Tylko w tej jednej dolince skały rozmieszczone są niesymetrycznie i nieregularnie. Tylko tu piękno skał nie wynika jedynie z faktu, że wcinają się one w rzekę. Bo w rzeczywistości są to dwie dolinki- jedna jest kanionem, a druga nie . Jednak zarówno jedna, „Raclawkowa”, jak i leżąca tuż obok „Bezraclawkowa”, szczycą się równie imponującymi skałami. Łączy je... zamięłowanie do horrorów- wyglądają tajemniczo i groźnie.

Jestem zdeklarowanym miłośnikiem skał wapiennych, bo są one najbardziej „wygadane” ze wszystkich skał- a ja nie potrafię długo milczeć. Lubię grzać się w blasku ich biolegend, które w tym wypadku zawsze zawierają ziarno prawdy ze względu na ich niemożliwą do ogarnięcia przez ludzi biohistorię. Toteż od zawsze marzyłem również o zwiedzeniu Pienin. A gdy się to już stało, mogłem dokonać analizy porównawczej Jury i Pienin.

W świetle tego co omawiałem wcześniej, banałem jest stwierdzenie, że gdyby Pieniny były podobne do Jury, bioliteratura obu tych pasm górskich przestałaby istnieć. Jedyne, co łączy więc Pieniny z Jurą, to wapienny charakter ich skał. A skoro oba pasma górskie są tak różne, może to oznaczać tylko jedno: one wiedzą o swoim istnieniu i nie chcą się małpować! Wątpię, czy gdyby się plagiatowały, zasługiwałyby na miano parków narodowych...

Skały Ojcowskiego Parku Narodowego, przyszłego Jurajskiego Parku Narodowego i Dolinek Podkrakowskich malują się manganem, co dodaje im powagi . Jest to jednak smutna powaga. Wydaje się, że skały te nie mogą sobie do tej pory poradzić z problemem STANIA SIĘ SKAŁAMI.

Wapienne skałki Pienin- wręcz przeciwnie. One chcą cieszyć się nekrozyciem! Ich egzystencję wypełnia... działalność gospodarcza będąca pochodną nekroaktywności. Ponieważ są wyższe od skał jurajskich, mają szersze horyzonty i widzą znacznie dalej.

Podstawą ich działalności gospodarczej jest żółte lub brązowożółte zabarwienie oraz tafelkowato łuszcząca się „skóra”. Słusznie domyślają się, że takie tło polubią organizmy importowane. Łatwo im więc przychodzi zawarcie wzajemnie korzystnych transakcji handlowych. Na obecnym etapie ewolucji ich „oczy” zwrócone są na Daleki Wschód Rosji. Rośnie tam chryzantema Zawadzkiego i właśnie ona zostaje z tego regionu sprowadzona w Pieniny.

Lecz gdyby Pieniny bazowały tylko na imporcie, ich gospodarka szybko popadłaby w stagnację. Dlatego jej podstawą jest dziś produkcja rodzima. Ponieważ żółte skały są naturalnymi panelami słonecznymi, nadają się one idealnie na siedziby organizmów endemicznych- na przykład pszonaka pienińskiego, smagliczki pagórkowej i wielu innych. Oddziaływanie tych naturalnych paneli sięga bardzo głęboko do wnętrza lasu, dlatego las, nie chcąc być gorszy od skał, produkuje unikalne runo. Na dużej przestrzeni tego lasu podstawą jego jest kozłek całolistny w kombinacji z żywcem cebulkowym. Tego nie ma w żadnym innym polskim lesie.

Fakt, że jestem zagorzałym fanem wapienia, nie zaślepia mnie i nie czyni obojętnym na piękno innych typów skał. Podobają mi się na przykład skały fliszu karpackiego. Zwiedziłem dwa „sztandarowe” rezerwaty tego typu skał- Skamieniałe Miasto w Ciężkowicach oraz Bukowiec.

Samotne fliszowe ostańce, zasilane żylastymi korzeniami drzew, są dla tych rezerwatów charakterystyczne i dlatego z punktu widzenia bioliteratury dość kiczowate. Żywą bioliteraturą są dopiero „polskie mesy”, czyli stoły, przy których spotkać się mogą unikalne gatunki. Tu modrzacek spotyka się z torfowcem nastroszonym. Łatwo mnie wyobrazić sobie, co czuje endemit, spotykając się z drugim endemitem w blasku fliszowych fleszy. To uczucie ulgi, że nie jest się jedynym klejnotem na tym świecie i że niepolitość nie jest obiektem zazdrości, a tęsknoty za ideałem...

Bioliteratura o nietypowej tematyce.

Chyba wielu moich Czytelników, patrząc na tytuł tego rozdziału, pomyśli sobie o gruszkach na wierzbie lub o niebieskich migdałach.

Niestety jestem zmuszony wyprowadzić ich z błędu.

Prawda jest taka, że zarówno gruszki na wierzbie jak i niebieskie migdały to w przyrodzie banał! W tym pierwszym przypadku gruszki na wierzbie tworzą listnice. Są to drobne rośliniarki, a według niektórych zoologów osy z rodziny galasówkowatych, które w ten sposób budują domki dla swoich larw. W drugim przypadku zaś są to piaszkowce modrzaki- niebieskie grzyby jadalne w kształcie migdałów i faktycznie crème de la crème piaszczystych lasów. Ale o tym za chwilę.

Zatem bioliteratura o nietypowej tematyce to po prostu znany z portalu extrastory. pl dział pod tytułem „Wszystkie inne”- tyle że w przyrodniczym wydaniu.

Oto dwa przykłady.

Wokół Pustyni Błędowskiej koło Olsztyna toczy się bogate życie bioliterackie. Istnieją tu liczne kluby, w których swe dzieła prezentują zarówno rodzimi twórcy jak i goście zagraniczni, z których najważniejszym jest wierzba kaukaska. Niektóre z nich są kiczowate, inne reprezentują niezły poziom, a kilka jest tak wybitnych, że już dziś tworzą nieprzemijającą bioklasykę. Wszystko to opisałem już w utworze „Na pustynnym szlaku”. Dlatego dziś opiszę zupełnie inny aspekt tej sprawy. Tematem tego podrozdziału jest MECENAT sprawowany nad tym przedsięwzięciem.

Jak zagospodarować pustynię, by stała się kwitnącą oazą? Większość organizmów zapytałaby: „A po co? Przecież prędzej czy później słońce je wypali albo pochłona wędrujące wydmy...”

Ach, wy tchórze! Dlaczego nie chcecie być kowalami swego losu? Czy nie dociera do waszych umysłów to, że przyroda wam pomoże, jeśli tylko wniesiecie choć trochę własnego kapitału?

Ale po co ja to mówię? Ja, podobnie jak inni ludzie na tej planecie, nie rozumiem przyrody do końca. Na szczęście przyroda ma dobrych psychologów, którym udaje się namówić oporne organizmy do osiedlenia się na pustyni. Najważniejszym z nich jest sosna.

Nie waham się stwierdzić, że sosna jest tym dla polskiej przyrody, czym Matka Boska dla narodu polskiego. To ona jako duchowy przewodnik polskiej przyrody głosi wszystkim organizmom żywym, że pustynie są tylko wytworami wyobraźni i jako takie mogą być łatwo przerobione na inne wytwory wyobraźni. To rewolucyjne stwierdzenie porywa do działania i sprawia, że nawet najmniejszy organizm staje się cudotwórcą. Nagle wszyscy stają się mocarzami i w niesprzyjających polskich warunkach glebowych wszędzie tworzą ogrody Semiramidy. A piaskowiec modrzak tylko zapisuje na piasku kolejne etapy tworzenia lepszego świata...

Sosna jest jednak straszliwie zmęczona po tak tytanicznej pracy. W przeciwieństwie do Matki Boskiej wciąż przecież jest fizycznym bytem! Tysiące jej hektarów pada więc ofiarą choćby opaślika sosnowca-szatańskiego owada o pięknym wyglądzie. Na widok „suchego pioruna” truchleje ze strachu. Tylko jej korzenie zawsze trzymają się mocno...

Obszar Polski jest prawie w całości ZAKAMUFLOWANĄ PUSTYNIĄ. Gdyby nie sosna, nie dałoby się w niej żyć. Ale dla bioliteratury znaczenie ma nie rola sosny w ekosystemie, tylko to, czy poszczególne jej egzemplarze posiadają nietypowe talenty. Nam, ludziom, niezmiernie trudno je dostrzec w gęstej puszczy. Jednak na Sokolicy w Pienińskim Parku Narodowym sosna pokonuje lęk przestrzeni i zawisa nad kilkusetmetrową przepaścią. Nie ma wątpliwości, że z tego powodu jest bioblogerką. Wystawiając się na widok biopubliczności na kilkadziesiąt lat opisuje im takie przeżycia, których po ludzku opisać się nie da i, co gorsza, zmuszona jest jeszcze wysłuchiwać krytycznych uwag tych, dla których może być pra- pra- prababką...

Tak, tak- bioliteratura posiada również ciemną stronę mocy.

Czytelnik zapyta, co mogłoby być bioliterackiego w śpiewie ptaków ? Przecież tu nie potrzeba żadnego talentu, a tylko skuteczności w zalotach! Poza tym ptaki mają wrodzone „matryce głosowe” i dlatego każdego ptaka można rozpoznać po głosie.

Przeczytałem wiele publikacji na ten temat i gdy zdobyłem nieco doświadczenia, udawało mi się już rozpoznać po głosie, który gatunek ptaka zamieszkuje dany habitat. Ale po pewnym czasie zauważyłem pewne rozbieżności z wiedzą teoretyczną, które w miarę upływu czasu tylko się pogłębiały. Mnożyły się pytania. W końcu doszedłem do wniosku, że przyroda sama zapędziła się w kozi róg i pomieszała głosy w sposób niemożliwy do rozszyfrowania nawet dla niej samej...

A miała spójną i uporządkowaną koncepcję. Chciała po prostu wymyśleć dla ptaków niedrapieżnych wspólny sposób porozumiewania się. Bioliteratura powstała w tym przypadku dlatego, że koncepcja ta poniosła klęskę! Dzisiaj tak odległe od siebie gatunki jak dzięcioł czy kos do perfekcji opanowały ptasie esperanto[dzięcioł nawet nie ma własnego języka], natomiast kwiczoł, który również jest gatunkiem kosa i z kosem właściwym dzieli nawet to samo drzewo, zawsze posługuje się niezrozumiałą dla „normalnego” kosa „strzygącą” chińszczyzną.

Ptaki, jako istoty inteligentne i chcące uczestniczyć w przemianie świata wiedzą, że coś tu nie gra. Najlepiej byłoby, według nich, łączyć indywidualną komunikację wewnątrz własnych gatunków z perfekcyjną komunikacją międzygatunkową. Ale nawet z bioliterackiego punktu widzenia jest to bardzo trudne.

Jako istoty rozumne ptaki wróblowate mają poczucie więzi, jaka powinna je łączyć. Te, którym misja jednoczenia wychodzi najlepiej dzięki indywidualnym talentom, nie mogą się oprzeć pokusie „wykrzyczenia” na cały świat własnego sukcesu. Szpaki, popadając w stan euforii, stają na najbardziej eksponowanej gałęzi drzewa i machając skrzydłami głośno śpiewają. Oczywiście jest to ptasia wersja występu na scenie przed szeroką publicznością.

Na przeciwnym biegunie plasuje się pokrzewka piegża. Ona też chciałaby umieć porozumiewać się z innymi ptakami, ale jej to kompletnie nie wychodzi. Nawet umiejętność komunikowania się z przedstawicielami własnego gatunku zawdzięcza ogromnej dozie szczęścia! Bo co by się stało, gdyby akurat w pobliżu sejmikowały bociany? Podejrzewam, że uznałyby one, że ktoś po prostu wyśmiewa się z ich klekotu! Gdyby znalazły „winowajczynię”, ta z pewnością popadłaby w tarapaty...

Dlatego właśnie pokrzewka piegża wstydzi się samej siebie. Zaszywa się więc w największym gęszcu, skąd od czasu do czasu słychać jej „pożalsiębożeklekot”.

Jednakże subtelności śpiewu ptaków i podwójna rola sosny to tylko jedne z wielu nietypowych tematów bioliterackich, które, jak podejrzewam, mogą stanowić nawet połowę całej bioliteratury. Warto w tym miejscu wspomnieć na przykład o brzozie niskiej, której nie podoba się naturalny rytm pór roku i chce go za wszelką cenę odwrócić. Na wiosnę ostentacyjnie nosi więc szatę z czerwonych, a nie zielonych liści. Wspomnę tu także o podgrzybkach- komandosach, które odważnie wchodzą pomiędzy owocniki mucho-mora sromotnikowego.

Zagrożona przyszłość bioliteratury?

Przyroda bez bioliteratury, tak jak człowiek bez literatury, może się obejść. W końcu jest ona tylko dodatkiem do bioróżnorodności, która bez bioliteratury nie jest zagrożona. W tym rozdziale spróbuję odpowiedzieć na pytanie, jak bez niej wygląda przyroda.

Sosna, o której tyle napisałem w poprzednim rozdziale, ma skłonności autorytarne. Trudno się temu dziwić, biorąc pod uwagę fakt, że potrafi jako jedyna tworzyć coś z niczego. Niestety, autorytaryzm zabija z czasem indywidualność, dlatego jakże często sosny tworzą monokultury, w których dobierają sobie współpracowników według z góry narzuconych schematów.

Najgorszą ich cechą jest zarozumiałość. Gdy już okrzepną na postpustyni, ani przez chwilę nie pozwalają nikomu zapomnieć, czego dokonały. Celowo zostawiają więc piaszczyste, pustynne podłoże pod sobą. Ale przyroda, starannie ważąc na szali wszystkie za i przeciw, podziela poglądy sosen, dokonując tylko drobnych korekt na wypadek gdyby kiedyś jednak zaczęła doskwierać im samotność. Ową „kosmetyczną korektą” krajobrazu jest zawsze szczodrzeniec żarnowiec- krzew radosny, słoneczny i... motylkowy. Jego „motylkowość” na długie lata wzmacnia antybioliterackość krajobrazu- wiążąc w swych korzeniach żywnodajne bakterie brodawkowate sprawia, że sosna w monokulturze czuje się wspianiale...

Ale nie tylko sosny winne są potencjalnemu upadkowi lub przynajmniej stagnacji bioliteratury. Na ży-

znych obszarach Polski, szczególnie w górach, wielkimi hamulcowymi kreatywności przyrody są jeżyny. W początkowej fazie ich rozwoju pełnią bardzo pożyteczną rolę parasola ochronnego dla inicjatyw bioliterackich. Ale gdy już okrzepną, rozkrzewią się i rozrosną, wszelkie organizmy żywe duszą się w ich uścisku i emigrują. Szczególnie „zasłużona” pod względem duszenia bioliterackich inicjatyw jest *Rubus hirsutum*- prawdziwy „bicz boży” górskich lasów. Ta kosmata jeżyna zarasta dziesiątki hektarów i katastrofalnie zabija je. Jest przy tym mściwa i okrutna- do tego stopnia, że nawet inne gatunki jeżyn panicznie przed nią uciekają. Sama pozbawiona jakichkolwiek talentów- ani ładna, ani smaczna- skutecznie odbiera innym organizmom ducha walki, wygrywając z nimi doskonałym uzbrojeniem. Ja też się jej boję, ale cóż- muszę utrzymywać z nią kontakty choćby po to, by wiedzieć, jak ją zneutralizować podczas grzybobrań...

Żelazna zasada bioliteratury mówi, że jeśli piękna jest w nadmiarze, przestaje ono być pięknem. O tej zasadzie najwyraźniej zapomina muchomor czerwony. Gdyby on rósł rzadko i pojedynczo, z pewnością wzbudzałby zachwyt. Ale rezultatem tego, że on bardzo chce się pokazać, jest przerost formy nad treścią. Wychodzi z tego typowa „opera mydlana”- przesłodzona miłość do brzoź, które w dodatku tyją od nadmiaru cukru dostarczanego im przez muchomory i nie są w stanie wywiązywać się z „psiego” obowiązku produkowania koźlaków.

Ale ja po latach doświadczeń trochę już przyrodę rozumiem. Po pewnym czasie następuje po prostu prześyt i znudzenie literaturą i w tej dziedzinie nic mnie od przyrody nie różni. Może się więc kiedyś stać tak, że przyroda, pozostając piękna i różnorodna, stanie się PRZEWIDYWALNA w swym pięknie.

Na razie tak się jeszcze nie dzieje. Zawdzięczamy to między innymi tak znienawidzonemu przez ekologów gatunkom obcego pochodzenia. Uciekłszy od BIOPRZEWIDYWALNOŚCI we własnych krajach wnoszą do polskich ekosystemów głód eksperymentowania i ducha niepokoju.

Najbardziej niespokojnym duchem jest nawłóć kanadyjska. Będąc pod nieodpartym urokiem najpiękniejszego polskiego ptaka- bażanta- postanawia udzielić mu „azyłu politycznego”. To rewolucja przemysłowa sprawiła, że dla bażanta i kuropatwy nawłóć stała się ostatnią nadzieją na przetrwanie. W jej gąszczu bażanty mogą sobie bezpiecznie „czyrykać” przez cały rok.

Niektóre rodzime rośliny, na przykład sadziec konopiasty, widząc, jak znakomite przynosi to rezultaty, zawierają „stalowy pakt” z nawłocią. Biorąc na świadków właśnie bażanty przyrzekają, że będą jej pomagać przy każdej możliwej okazji. Diabeł jednak tkwi w określeniu „PRZY KAŻDEJ MOŻLIWEJ OKAZJI”. W biodyplomacji oznacza ono nic innego jak kryptolenstwo i wygodnictwo. Nawłóć kanadyjska dobrze wie, że sadziec w zimie nie dotrzyma przysięgi. Wolałaby ona więc wejść w azyłową koalicję z trzciną, gdyż trawa ta wytrzyma zimowe cierpienia. Niestety- trawę tą trudno wyciągnąć z wody...

Znaczenie bioliteratury w moim życiu.

Bioliteratura miała na moje życie wpływ tak wielki, że obecnie dzielę moje życie na dwa etapy- przed poznaniem bioliteratury i po jej poznaniu. W pierwszym etapie byłem zakompleksionym, bojaźliwym człowiekiem przekonanym, że nie nadaję się do niczego-jestem niepełnosprawny niemal od urodzenia.

Pierwszym wyłomem w tym wizerunku, choć jeszcze nie decydującym, było moje pierwsze grzybobranie w wieku czternastu lat. Później całkowicie pochłonęła mnie szkoła i nie miałem czasu wgłębiać się w leśną tematykę. Dopiero gdy szkołę ukończyłem, zacząłem szukać zajęcia, które byłoby odpowiednie dla

mojej niepełnosprawności. I tu dziękuję za pomoc w wyborze właściwego kierunku Lasom Zabierzowskim, nazwanym potem przeze mnie Puszcą Skał Kmity. Las ten wraz z siecią swoich labiryntów i zakamarków wciągnął mnie bez reszty.

Od tego czasu minęło 25 lat- dokładnie połowa mojego życia. Dziś mam już na swoim koncie pięć parków narodowych, mnóstwo rezerwatów przyrody, tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy grzybobrań, podstawy meteorologii, a nawet, co bynajmniej nie jest najmniej ważne, obszary silnie zmienione przez działalność człowieka. Droga do poznania zaawansowanej bioliteratury wiodła oczywiście zawsze poprzez poznanie piękna „prostej” przyrody.

Dziś, po latach doświadczeń z bioliteraturą, zweryfikowałem także wiele wydawałoby się nie do ruszenia dogmatów. Nie jestem już tak kategoriycznym wyznawcą teorii ewolucji jak kiedyś. Zbyt dużo istnieje w przyrodzie pokładów empatii, zbyt wiele szans mają słabsi, aby to mógł być przypadek. Zbyt wiele cierpienia nie idzie też na marne. Odnoszę nawet wrażenie, że teoria ewolucji została wymyślona po to, by choć po części spróbować usprawiedliwić nasze niegodziwości...

Jednak moim zdaniem wcale to nie oznacza, by przyroda miała dylematy moralne. Dylematy moralne są tylko PATOLOGIA PRZYRODY! Parafrazując Einsteina można powiedzieć, że dobro i zło są względne. Stwierdzenie to niesie za sobą bardzo ważne konsekwencje. Liczy się tylko NATURALNOŚĆ, stąd druga nazwa przyrody- natura.

Naturalność jest procesem biohistorycznym, a nie stanowionym prawem, stąd naczelna zasada przyrody- żadnej arbitralności! Wynika to stąd, że żaden gatunek nie może istnieć bez drugiego, co jednak nie dotyczy, niestety, ludzi. Każdy gatunek, żyjąc w zespole z innymi gatunkami, zachowuje jednak zawsze własną tożsamość i wnosi do wspólnoty swój własny styl życia. Gdyby jakiś gatunek chciał narzucić coś drugiemu, jego los byłby przesądzony- w najlepszym razie byłby skazany na samotność i upodobniłby się do człowieka.

Każdy bezstronny obserwator, na przykład turysta, bez trudu odróżni prawdziwą przyrodę od jej podróbki. W parkach narodowych zasada braku ogólnych norm etycznych została zrealizowana w stu procentach. Tam też rozwinęła się najbardziej zaawansowana bioliteratura, zawoalowana w międzygatunkowych zespołach i podparta pięknem krajobrazu. Miłość, śmierć i przemijanie zespalają się tutaj w nienazwane jedno.

Natomiast z podróbką przyrody mamy do czynienia na obszarach zurbanizowanych oraz tam, gdzie jakiś gatunek narzuca innym swoją wolę i próbuje wprowadzić prawo. W Lasach Krasowsko – Januszowieckich na północny wschód od Nowego Sącza jest takie miejsce, gdzie sosny postanowiły niepodzielnie rządzić i upodobnić się do siebie pod względem grubości pni. Aż przykro patrzeć na ten kawałek lasu! Mimo iż grzyby mają tu cieplarniane warunki ze względu na brak konkurencji roślin runa, omijają to miejsce z pogardą. Byłem tam tyle razy, a nigdy nie znalazłem ani jednego! Gdyby nie żyzność gleby, już dawno zostałyby z tutejszych sosen puste kikuty...

Na przeciwnym biegunie znajdują się tolerancyjne jodły[nie dla świerków]. Tolerancję zaczynają od SAMYCH SIEBIE. W zwartych puszcach jodłowych „każdy sobie rzepkę skrobie”- tuż przy jodłowych matuzalemach rośnie sobie jodłowa młodzież. I to właśnie w jodłowych ekosystemach bioliteratura przeżywa burzliwy rozwój.

Na obszarze puszczy jodłowych występuje najciekawsze runo leśne, które nierzadko pisze mikrobioliteraturę. Drobne mchy potrafią tu nawet „ucywilizować” jeżynę gruczołową i zmusić ją do produkcji grzy-

bów rzadkich- oczywiście zgodnie z własnymi wskazówkami. Jest to wspaniała biopoezja na temat "mały może więcej". Zwracam przy tym uwagę na ogromne podobieństwo tego działu biopoezji do klasycznej poezji! Wiadomo przecież, że wielu początkujących poetów naraża się na ostrą krytykę specjalistów właśnie z powodu tego, że w swoich próbkach zbyt często używają słowa „wielki”...

W międzygatunkowych zespołach nie może oczywiście zabraknąć zwierząt. Zawsze uczono mnie, że tworzą one skomplikowane łańcuchy pokarmowe, w których każdy zjada każdego, aby móc przeżyć. Jest jasne, że każdy musi coś zjeść. Ale patrzeć na przyrodę wyłącznie pod kątem zależności pokarmowych jest dokładnie tym samym, co próba nauczania się gry w szachy poprzez pamięciowe opanowanie wariantów debiutowych. Takie podejście ośmieszałoby zarówno szachistę jak i pasjonata przyrody.

Drapieżcę z ofiarą łączy WZAJEMNY SZACUNEK. Łasica, która poluje na gryzonie, zawsze próbuje znaleźć usprawiedliwienie dla swego postępowania. Zamiast więc od razu brutalnie rozkopywać mysie nory, zaczyna polowanie od przepięknego tańca. U zwierzęcia o tak wysokiej inteligencji na pewno nie jest to zachowanie wrodzone! Żeby osiągnąć taką grację ruchów, potrzeba treningu. To tym bardziej godne podkreślenia, że mysz jest w stosunku do łasicy bardzo upośledzona umysłowo.

W przypadku zwierząt o wysokiej inteligencji mamy do czynienia wręcz z ustawkami. Dwaj śmiertelni wrogowie- wiewiórka i kuna- robią wszystko, by polowanie wyglądało niewinnie, na przykład jak dziecięca zabawa w berka. Najbardziej obrywa się przy tym nie samym zainteresowanym, lecz drzewu, na którym ma miejsce śmiertelny pojedynek!

Oczywiście nie wszystkie drapieżniki charakteryzuje wysoka kultura osobista. Ale wszystkie są ciekawe świata. Dlatego bioliteratura o tematyce myśliwskiej nie pozostawia ich bez refleksji.

I to by było na tyle. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak odwołanie się do ludzkiej wrażliwości. Może ktoś z moich Czytelników również spotkał się z bioliteraturą? Jeśli tak, niech podzieli się ze mną swoimi odkryciami.

Jarosław Roman

Ukończono: 31 października 2015 r

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

trawa1965, dodano 07.05.2016 15:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.